



Stephen Hunter
Strzelec



Mayfly
WARSZAWA 2010







ROZDZIAŁ 4







Nazajutrz spotkali się na tej samej strzelnicy, choć tym razem nie było z nimi pułkownika. Pod jego nieobecność podwładni pułkownika wydawali się nieco bardziej rozluźnieni. Dowodził Hatcher, choć nie wychodziło mu to najlepiej. Był żyłastym, pięćdziesięcioletnim rudzielcem z krzywymi zębami, zawsze nosił przy sobie kilka długopisów upchanych w jakimś plastikowym woreczku i wetkniętych do kieszeni na piersiach. Sprawiał wrażenie człowieka, który wie za wiele na jeden temat i za mało na wiele innych. Zaprowadził Boba do czarnego Jeepa Cherokee, po czym wraz z dwójką innych ludzi – jednym z nich był flegmatyczny Payne – pojechali polnymi drogami za wzgórze.

Bob był zaszokowany tym, co zobaczył – przed nimi rozciągało się olbrzymie puste pole na zboczu pagórka; na krańcu pola stała prowizoryczna konstrukcja z połączonych śrubami rur i drabin, przedziwne rusztowanie utrzymywane w pionie przez napięte, stalowe linki zakotwiczone w ziemi. Całość wyglądała jak namiot cyrkowy bez płótna albo szkielet budynku bez cegieł i betonu.

Bob przyjrzał się uważniej drabinom prowadzącym na górę konstrukcji, gdzie znajdowała się platforma z ławką strzelecką i krzesłem.

- To budynek w mieście Tulsa, w Oklahomie – wyjaśnił Hatcher. – A raczej wysokość i odległość odpowiadające dokładnie wysokości i odległościom z Tulsy. Widzi pan ten samochód?

Na końcu gruntowej drogi biegnącej przed tą przedziwną konstrukcją stała stara limuzyna, pozbawiona silnika i zardzewiała, choć z nienaruszoną kabiną pasażerską. Wrak zaopatrzonej był w wyciągarkę i linę, połączoną zapewne z silnikiem ukrytym w odległości co najmniej ośmiuset metrów.

- A cóż to jest, do diabła?

- To scena z akcji oddziałów specjalnych – powiedział Hatcher. – Odtworzyliśmy sytuację, w której pana zadaniem będzie strzelanie do ruchomego celu podczas porwania. Nie podamy panu dokładnych wskazówek, ale będziemy utrzymywali z panem łączność radiową i dostanie pan pozwolenie na oddanie strzału do bandyty, który obrabował bank i ucieka z miejsca zbrodni w otoczeniu zakładników. Będzie pan miał tylko jakieś pięć sekund na strzał w głowę. Cały ten scenariusz to powtórka wydarzeń, które miały miejsce w Tulsa w 1986 roku, kiedy to snajper FBI musiał wykonać takie właśnie zadanie.

- Co się stało?

- Postrzelił jedną z zakładniczek w kręgosłup i sparaliżował ją. Bandyta zastrzelił dwie pozostałe zakładniczki, a potem sam się zabił. To było coś straszne-

go, po prostu straszego. Ten agent szkolił się do takiej sytuacji przez całe życie, a kiedy w końcu nadeszła ta chwila, wszystko spieprzył.

- Byli w limuzynie?

- Nie, z tyłu pickupa. My wykorzystamy limuzynę.

Cherokee zaparkował, a kilka osób pracujących przy rusztowaniu podeszło do nich, by się przywitać. Hatcher porozmawiał z technikami, rozdał zestawy słuchawkowe, po czym zaprowadził Boba do tablicy schowanej w blaszanej wiacie.

- Wie pan, panie Swagger, według naszych obliczeń w ciągu ostatnich piętnastu lat funkcjonariusze różnych służb ochrony porządku publicznego, na szczeblu lokalnym i federalnym, oddali ponad osiemset pięćdziesiąt strzałów snajperskich, to znaczy strzelali do uzbrojonych przestępców z karabinów snajperskich z odległości od trzydziestu do ponad trzystu metrów. Wie pan ile z tych strzałów od razu unieszkodliwiło ofiarę?

- Pewnie niewiele.

- Trzydzieści jeden procent. Trzydzieści jeden procent idealnie celnych strzałów. Do diabła, w zeszłym roku, w Sacramento, w Kalifornii, snajper policyjny strzelał do nieruchomego bandyty stojącego za szklanymi drzwiami sklepu i w ogóle go nie trafił. Drajn zastrzelił trzech zakładników, nim w końcu go sprzątnęli. Wie pan, dlaczego?

Bob zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Pewien niewielki procent chybionych strzałów może być wynikiem odchylenia pocisku albo wadliwego karabinu. Ale założę się, że w większości przypadków jest to wina strzelca. W 'Nam spudłowałem za pierwszym razem. I za drugim. Trzeba doświadczenia, żeby spokojnie pociągnąć za spust, kiedy mierzy się do człowieka.

„Trzeba sobie znaleźć małe zimne miejsce i zaszyć się tam na jakiś czas” – pomyślał.

- Zgadza się – pokiwał radośnie głową Hatcher. – Uważamy, że jeśli dzięki naszej amunicji snajperzy będą się czuli choć trochę pewniej, to warto się w to angażować. Chcemy, żeby facet trzymający karabin wiedział, że wystrzelony przez niego pocisk na pewno trafi do celu, jeśli tylko on odpowiednio go nakieruje. A uwierz w to, bo, jak mamy nadzieję, pan mu to powie i pokaże.

Bob skinął głową.

- Mogę obejrzeć samochód?

- Nie. Proszę pomyśleć o tym w ten sposób: czy agent FBI widział samochód, zanim musiał strzelać? Nie, nie widział, a my chcemy postawić pana w takiej samej sytuacji, jak jego. Nie podamy też panu odległości, bo chcielibyśmy, żeby

sam pan ją obliczył. Chcemy po prostu posadzić pana na czwartym piętrze budynku firmy ubezpieczeniowej w Tulsa. Jest dziesiąty października 1986 roku, a bandyta, niejaki Willie Downing, uzbrojony w tani pistolet Star 9mm, jedzie z tyłu pickupa w towarzystwie trzech kobiet, które wziął jako zakładniczki. Jadą na lotnisko w Tulsa, gdzie jak sądzi Downing, czeka na niego samolot, który zabierze go do Afryki. Jest pan agentem specjalnym Nickiem Memphisem z FBI, który przeszedł szkolenie w jednostkach specjalnych policji, najlepszym strzelcem w całym biurze. Za kilka godzin Willie Downing znajdzie się w zasięgu pańskiego wzroku, po tym jak zabił policjanta oraz strażnika bankowego i zranił dwie inne osoby. Downing ma objawy psychozy wywołanej zażyciem PCP. Pański przełożony uznał, że to właśnie pan powinien do niego strzelić: ma pan odpowiednie umiejętności i sprzyjające warunki. Prawdziwy Nick Memphis strzelał z karabinu Remington 700 kaliber .308, ale bez ciężkiej varmintowskiej lufy...

- To nie powinno mieć znaczenia – przerwał mu Bob. – Nie przy jednym strzale.

- Tak czy inaczej, będziemy utrzymywać łączność radiową, a wiele spośród informacji, które pan usłyszy, opartych jest na zapisie prawdziwej rozmowy; znajdzie się pan więc w podobnej sytuacji jak Nick Memphis. Ja będę tutaj, na dole, i będę czytał panu komendy, naprowadzając pana tak samo, jak przełożeni Memphisa. Będzie pan miał mnóstwo czasu, żeby się ustawić, podobnie jak on, i mnóstwo czasu, żeby namierzyć cel, czekając na zielone światło. Panie Swagger, wie już pan chyba wszystko: chce się pan w to pobawić?

Bob spojrział na chwiejną konstrukcję z metalu i drewna. Nie budziła zaufania. Ale kusila go. Jego próżność została mile połączona. Czy potrafił oddać taki strzał, szczególnie, gdy jakiś federalny dupek zawiódł w tej sytuacji, doprowadzając do śmierci kilku osób?

Nagle, po raz pierwszy od przybycia do Marylandu, Bob pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Zróbmy to – powiedział. W tej chwili nie obchodził go wcale Accutech i jego interesy; po prostu miał ochotę pobawić się w Williego Downinga i Nicka Memphisa.

Powiedzieli mu, że prawdziwy Nick Memphis strzelał z worków z piaskiem ułożonych na parapacie czwartego piętra. Kiedy po długiej wspinaczce dotarł na drewnianą platformę, znalazł tam podobne, choć z konieczności prowizoryczne, stanowisko strzeleckie.

Założył zestaw słuchawkowy i zgodnie z instrukcją przełączył się na kanał 14, kanał FBI.

Najpierw rozległy się jakieś szmery i trzaski, a potem ktoś przemówił:

- Charlie Four, słyszysz mnie, Charlie Four?

- Jestem Charlie Four? – spytał Bob.

- Tak – odparł głos. – Charlie Four, informuj o swojej pozycji. – Mówił Hatcher, który odgrywał rolę Bazy.

- Jestem na górze, do cholery.

- Bob, przenieśmy się do roku 1986, żeby bardziej wczuć się w sytuację – poprosił go Hatcher. – Odpowiadaj standardowym żargonem radiowym.

- Baza, zrozumiałem. Jestem na czwartym piętrze budynku towarzystwa ubezpieczeniowego, mam otwarty widok na wschodnią część... - Próbował przypomnieć sobie nazwę ulicy, przy której strzelał Memphis. - ...Ridgely.

- Zrozumiałem, Charlie Four, nie ruszaj się z miejsca.

- Jak wygląda sytuacja?

- Charlie Four, podejrzany zmierza w twoim kierunku ulicą Mosher. Minął dwie zasadzki, ale dowództwo nie zezwoliło na atak, bo nikt nie miał okazji do czystego strzału. Otaczają go te trzy cholerne histeryczki. Przypuszczamy, że przywiązał się do nich.

- Zrozumiałem, Baza.

- Zostań na nasłuchu.

Bob spojrział w dół, na „ulicę”, na którą miał strzelać. Największym problemem była oczywiście odległość. Strzelanie na określoną, znaną odległość było łatwiejsze, snajper mógł bowiem obliczyć odchył pocisku, korzystając z tabel balistycznych i własnego doświadczenia. Bob nie miał jednak wrodzonego wyczuwania odległości. Niektórym ludziom wystarczyło tylko, by na coś spojrzeli, a jakieś dziwne mechanizmy w ich mózgach mówiły im, z jaką odległością mają do czynienia. Bob nie posiadał takiej umiejętności. Podczas pobytu w Wietnamie wypracował sobie więc swój własny system. Kiedy widział oczy, wiedział, że od celu dzieli go nie więcej niż dziewięćdziesiąt metrów – taka sytuacja zdarzała się jednak rzadko. Kiedy widział twarz, odległość wynosiła mniej więcej sto osiemdziesiąt metrów. Kiedy widział tylko głowę, szacował odległość na dwieście siedemdziesiąt metrów. Jeśli rozróżniał jedynie nogi i tułów, strzelał z odległości trzystu sześćdziesięciu metrów. Jeśli widział tylko sylwetkę, dystans wynosił czterysta pięćdziesiąt metrów. Jeśli nie dostrzegał niczego poza ruchem, odległość od celu zbliżona była do pięciuset czterdziestu metrów.

Z wysokości czwartego piętra obserwował, jak technicy krzątają się po strefie śmierci, oglądają łańcuch, który miał ciągnąć samochód, grzebią przy silniku wyciągarki, ustawiają kamery zamocowane na trójnogach wzdłuż drogi. Przyjrzał im się uważnie i dokonał w głowie odpowiednich obliczeń. Ostatecznie doszedł do wniosku, że cel będzie znajdował się w odległości około dwustu dziewięćdziesięciu metrów.

Tymczasem w słuchawkach wciąż słychać było szumy i trzaski, a także raporty innych jednostek policji i FBI; hałas nie ustawał ani na chwilę. Dlaczego biedny Memphis nie miał ze sobą obserwatora, kogoś, kto utrzymywałby kontakt z bazą i nie pozwalał mu się rozproszyc?

Choć Bob widział przed sobą tylko góry i las, a na wysokości jego stanowiska powiewał zimny wiatr, bez trudu mógł wyobrazić sobie Memphisa tkwiącego w małym, rozpalonym biurze za workami z piaskiem, z każdą chwilą coraz bardziej zaniepokojonego i zdenerwowanego.

„To właśnie nerwy wszystko mu popsują” - pomyślał Bob. Nie strzela się w nerwach ani w pośpiechu. Strzela się z profesjonalnym spokojem i pewnością siebie, zakotwiczoną w tysiącach godzin ćwiczeń i setkach tysięcy wystrzelonych pocisków, w przekonaniu, że jeśli to widzisz, to możesz do tego trafić.

- Charlie Four, jesteś tam?

- Tak, Baza.

- Dowództwo podaje, że samochód podejrzanego skręcił właśnie w Lincoln i wjeżdża w twoją dzielnicę.

- Zrozumiałem, Baza.

- Przewidywany czas przybycia cztery minuty.

- Zrozumiałem, Baza.

- Charlie Four, mam złe wieści, podobno podejrzanym wymachuje bronią i krzyczy na zakładniczki, a za każdym razem, gdy widzi samochód policyjny, zachowuje się jeszcze bardziej nieprzewidywalnie. To naprawdę złe, bardzo złe informacje.

- Zrozumiałem, Baza.

- Charlie Four, myślisz, że będziesz w stanie oddać ten strzał?

Bob spojrział przez lunetę na drogę, którą miał przejechać pojazd z zakładniczkami.

- Widzę wszystko całkiem wyraźnie, Baza. Mogę strzelić, jeśli tego chcecie.

- Charlie Four, ten facet w każdej chwili może całkiem odlecieć i zabić jeszcze więcej ludzi.

- Zrozumiałem, Baza. Możesz mi podać przewidywany czas przybycia?

- Podejrzany jest na Lincoln Street, Charlie Four, Lincoln na wysokości Chesley. Policjanci mówią, że jest naprawdę wściekły, naprawdę wściekły. Denerwuję się trochę.

- Baza, oceniam odległość na dwieście dziewięćdziesiąt metrów. Z tej odległości mogą trafić w pięciocentówkę. Prawdopodobieństwo udanego strzału jest bardzo wysokie.

- Charlie Four, jestem w kontakcie z dowództwem, sytuacja w samochodzie wygląda coraz gorzej. Postanowiliśmy dać ci zielone światło, Charlie Four.

- Zrozumiałem, Baza, przygotowuję się do strzału. Przerwywam na chwilę łączność.

- Odmowa, Charlie Four. Mam tu dwóch obserwatorów; powiadomię cię, kiedy pistolet podejrzanego skierowany będzie w bezpiecznym kierunku, a ty będziesz mógł strzelić mu w głowę, Charlie Four. Nie możemy ryzykować, że przed śmiercią pociągnie jeszcze za spust, prawda?

- Nie zgadzam się, Baza. Nie mogę koncentrować się na niczym poza moim strzałem.

- Więc zrezygnuj, Charlie Four. Nie dam ci zielonego światła, dopóki nie będę miał pewności, że broń podejrzanego jest w bezpiecznej pozycji. Tak nakazuje regulamin.

Więc tak wyglądała sytuacja Nicka Memphisa. Musiał się zgodzić, żeby jakiś facet wrzeszczał mu do ucha, albo zrezygnować.

- W porządku, Baza, przekonałeś mnie. Zajmuję pozycję strzelecką. Daj znać, kiedy twoi ludzie stwierdzą, że sytuacja jest czysta.

Bob przysunął karabin do ramienia, spojrzął przez lunetę na wyraźny, wielki obraz, pełen jasnych, krzykliwych barw.

- Charlie Four, podejrzany wjechał na Ridgely, za chwilę znajdzie się w twojej strefie śmierci.

Bob przesunął zamek i wprowadził do komory jeden z pocisków Accutech kaliber .308. Przysunął karabin jeszcze bliżej, a gdy przekonał się, że mikrofon z zestawu słuchawkowego przeszkadza mu ułożyć odpowiednio głowę, natychmiast odgiął go na bok.

Zajął zmodyfikowaną pozycję siedzącą, opierając większość ciężaru ciała na lewym pośladku i przechylając lekko tułów, tak by znaleźć się blisko karabinu, który stał mocno zakotwiczony na workach z piaskiem. Bob opierał się na łokciach, a środek ciężkości broni znajdował się na piasku, kontrolowany jego dłońmi. Ból w biodrze nieco mu dokuczał, nie było to jednak coś, z czym nie mógłby sobie poradzić.



Patrząc przez lunetę, dokonywał jednocześnie drobnych korekt uchwytu dłoni i ułożenia ciała, starając się znaleźć pozycję idealną, w której wszystko znajdowałoby się na swoim miejscu, w której byłoby mu najwygodniej, w której jego oddech byłby naturalny i spokojny, a on sam czułby się mocno osadzony na krześle, ławce i workach z piaskiem.

Obserwował, jak krzyżyk w celowniku drży lekko, dopasowywał oddech. To był właśnie prawdziwy wróg: nie Willie Downing, Nick Memphis, Accutech czy cokolwiek innego – nie, to było jego własne serce, nad którym nie potrafił całkiem panować (nikt tego nie potrafił), i które wysyłało zdradzieckie sygnały do różnych części jego ciała. W tych ostatnich chwilach serce mogło zdradzić każdego, wysłać błyskawicę strachu, która mogła objawić się na wiele tragicznych sposobów: spóźnione szarpnięcie cyngla, zbyt długo wstrzymany oddech, drgnienie powieki, które sprawi, że strzelec straci na moment ostrość widzenia lub właściwą perspektywę; jego ucho mogło usłyszeć nagle o jeden dźwięk za dużo, albo o jeden za mało; mózg mógł nagle przypomnieć mu o zdrętwiałej nodze i odciągnąć myśli od najważniejszej sprawy.

Bob zamrugał oczami, upomniał się w duchu i spróbował zobaczyć w celowniku coś, co nie byłoby obiektem nienawiści (jego własnej słabości), lecz czymś, z czym należało się pogodzić – wybaczyć sobie. Wyrzucenie dla samego siebie stanowiła ważną część tego procesu: nie możesz być doskonały przez cały czas. Nikt nie może: zaakceptuj więc własne słabości, spróbuj je ośwoić i sprawić, by działały na twoją korzyść.

Bob oddychał powoli, pozwalając, by powietrze wpływało jednostajnym strumieniem do jego płuc, a potem wypływało w z nich w takim samym tempie. Nie chciał, by wypełniły się za mocno, by przeszkadzały mu w najważniejszej chwili. Nadal nie czuł się całkiem swobodnie. To wszystko było takie dziwne: siedział na rusztowaniu udającym budynek, udawał agenta FBI, udawał, że jest rok 1986 i próbował udawać, że to wszystko jest realne.

„Nie ma czego udawać” – powiedział sobie w duchu. „Jest tylko strzelanie, a to zawsze jest realne”.

Wcześniej już dokonał w myślach wszystkich obliczeń. Znał tabele balistyczne na pamięć, wiedział więc, że przy strzale z odległości dwustu dziewięćdziesięciu metrów pocisk o wadze dziesięciu gramów opadnie o jakieś dwadzieścia pięć centymetrów i zwolni do prędkości około sześciuset sześćdziesięciu metrów na sekundę. Wiedział też jednak, że naboje Accutech są nieco lepsze od przeciętnych, zakładał więc, że wystrzelony przez niego pocisk opadnie tylko o dwadzieścia centymetrów. Dodatkowym problemem był fakt, że strzela z góry, a w takiej



sytuacji pocisk zachowuje się nieco inaczej niż przy płaskim strzale. Oznaczało to, że musi dodać odrobinę spadku, bo kule wystrzelone pod kątem opadały trochę szybciej. Dołożył więc jeszcze dwa centymetry do równania. W sumie otrzymał więc dwadzieścia dwa centymetry. Nie mógł zapomnieć o wietrze, lekkim podmuchu, który przesunąłby pocisk o jakieś dziesięć centymetrów na lewo. W sumie musiał więc mierzyć dwadzieścia dwa centymetry wyżej i dziesięć centymetrów bardziej na prawo. Pozostawała jeszcze poprawka na prędkość samochodu: tę musiał wprowadzić na poczekaniu, kiedy otrzyma zezwolenie na strzał.

- Charlie Four, słyszysz mnie?

„Kurwa mać, czego on znowu chce?” – pomyślał Bob.

Milczał. Mikrofon odgięty był na bok, a gdyby chciał przeciągnąć go z powrotem na miejsce, musiałby zmienić tak długo przygotowywaną pozycję, zaburzyć spokój. Nie zamierzał tego niszczyć.

- Charlie Four, do cholery, gdzie jesteś?

Bob nadal się nie odzywał, czekając, aż samochód pojawi się w lewym dolnym rogu jego pola widzenia.

- Charlie Four, do cholery, powiedz coś! Słyszysz mnie? Odezwij się, Charlie Four, potrzebuję twojego potwierdzenia.

Bob nadal milczał. Starał się zapanować nad delikatnym drżeniem celownika, wyciszyć umysł z wszelkich zbędnych emocji i oderwać się od własnych zmysłów. Interesowały go teraz tylko dwie rzeczy: ustalenie idealnej pozycji strzału i zachowanie jej aż do momentu pociągnięcia za spust.

- Charlie Four, nie odpowiadasz. Nie dam ci zielonego światła, do cholery, muszę mieć twoje potwierdzenie, muszę wiedzieć, że słyszysz moje komendy!

Bob nie reagował na wezwania Bazy. Oddychał nieco głośniejszym, bardziej chrapliwie. Miał ochotę zrzucić słuchawki z głowy. Po co ten dupek do niego gadał!? W takiej chwili!

Próbował oczyścić umysł, skupić się tylko i wyłącznie na strzale. Nie mógł.

- Charlie Four, zielone światło odwołane. Rezygnujemy ze strzału. Odłóż broń, jeśli tam jesteś, Charlie Four. Słyszysz mnie? Odwołujemy akcję. Nie będzie żadnego strzelania, do cholery.

Wreszcie go zobaczył.

Wrak limuzyny, ciągnięty na łańcuchu, wsunął się w jego pole widzenia, ustawiony pod kątem mniej więcej czterdziestu stopni względem stanowiska Boba. Poruszał się z prędkością około trzydziestu kilometrów na godzinę. Bob bez problemu obrócił karabin na worku, wodząc lufą za ruchomym obiektem, szukając najdogodniejszej pozycji. Starał się nie zwracać uwagi na szczegóły, było

to jednak praktycznie niemożliwe. Rolę Downinga odgrywał arbuz, balony zaś udawały głowy otaczających go zakładniczek. Pomysł był prosty i groteskowy, ale skuteczny. Poruszone balonem wiatry kołysały się na wszystkie strony, ocierały o siebie nawzajem i o nieruchomy arbuz, który nabierał w tym otoczeniu niemal ludzkich cech. Bob omal się nie roześmiał. Tyle pieniędzy tylko po to, żeby strzelić do arbuza! Wiedział, że to absurdalne. Setki strzelców mogłyby trafić w taki arbuz, ale tylko jeden w głowę.

Nagle przestał o tym myśleć, wiedział bowiem, że znalazł odpowiednią pozycję, że wszystkie elementy ułożyły się w idealnym porządku, że może strzelać. Odczekał jeszcze chwilę, po czym mimowolnie, nieświadomie podjąwszy decyzję o złamaniu rozkazu, zaczął naciskać na spust. Wiedział, że strzeli tak czy inaczej, pieprzyć ich.

- Charlie Four, podejrzany opuścił broń, zielone światło, zielone światło, zielone...

Lecz Bob już strzelił, podjąwszy właściwą decyzję na poziomie podświadomości. Jego umysł poddał się palcowi leżącemu na cynglu; jego palec sam rozstrzygnął o wszystkim. Na ułamek sekundy przed tym, jak obraz w lunecie rozmazał się i zniekształcił, zobaczył eksplodujący arbuz, płamę czerwieni na tle zielonego krajobrazu Maryland. Kiedy karabin wrócił na swoje miejsce, a obraz ponownie nabrał ostrości, Bob zobaczył, że arbuz rozpadł się na pół, a wszystkie balony nadal kołyszą się na wietrze.

- Gratulacje – powiedział Hatcher. – Idealne trafienie. Rozwiązał pan problem.

Bob obrzucił go tylko chłodnym spojrzeniem. Przed momentem zszedł ze stanowiska na rusztowaniu i natychmiast został otoczony przez swoich wielbicieli.

- Kiedy postanowił pan strzelać?

- To przyszło samo.

- Był pan taki szybki, kiedy dostał pan zielone światło. Do diabła, naprawdę niesamowicie szybki!

Bob nie powiedział im, że kiedy dostał pozwolenie, naciskał już na spust.

- Proszę, oto zapis oryginalnej rozmowy z tamtego wydarzenia, może go pan przeczytać.

Bob przejrzał pobieżnie kartki z zapisem rozmowy, i przekonał się, że Baza rzeczywiście zagadywała biednego Memphis'a aż do ostatniej chwili.

BAZA: Namierzyłeś cel?

AGENT MEMPHIS: Tak, jest na dole mojego celownika, przesuwa się na środek, jest...

BAZA: Nie strzelaj, Charlie Four, dopóki nie otrzymam potwierdzenia, że podejrzany opuścił broń.

AGENT MEMPHIS: Baza, do cholery, mam go, mam go...

BAZA: Brak pozwolenia, Charlie Four. Nie mogę zezwolić ci na oddanie strzału, wstrzymaj się...

AGENT MEMPHIS: [niewyraźnie] ... mam go, do cholery, mogę...

BAZA: Odmowa, odmowa, Charlie Two, jak wygląda sytuacja?

AGENT O'BRIAN: Nie widzę jego broni, Baza, och, Chryste, będzie strzelał...

BAZA: [niewyraźnie] Strzelaj, zielone światło, strzelaj, do cholery, zabij gnoja...

AGENT MEMPHIS: [niewyraźnie]

BAZA: Boże, postrzeliłeś dziewczynę, trafił dziewczynę, o Jezu, w plecy...

AGENT O'BRIAN: Podejrzany strzela do zakładniczek, Jezu, niech ktoś go zabije, Nick, zastrzel go, zastrzel go, zastrzel go!

AGENT MEMPHIS: Nie widzę go, jest za... o Jezu, strzela do nich, nie mogę go trafić, Boże, pomóż im, pomóż im, niech ktoś im pomoże!

AGENT O'BRIAN: Właśnie odstrzelił sobie głowę [przekleństwo], Nick, wsadził sobie lufę pistoletu do gęby i odstrzelił sobie tę [przekleństwo] głowę...

BAZA: Sprowadźcie lekarza, Jezu Chryste, sprowadźcie pomoc, niech ktoś...

AGENT MEMPHIS: Cholera.

To wystarczyło Bobowi. Dlaczego Memphis nie miał obserwatora, kogoś, kto siedziałby tuż obok niego? Strzelanie snajperskie jest zadaniem dla dwóch ludzi, albo dla jednego, który działa samotnie, na własną rękę. Z pewnością nie powinien robić tego ktoś, kto bez ustanku musi wysłuchiwać czyjejś paplaniny. I ta Baza. To właśnie Baza była tu prawdziwym wrogiem: to Baza uniemożliwiła Memphisowi oddanie dobrego strzału, trajkocząc bez przerwy jak stara baba.

- Wyruchali go, bez dwóch zdań – wycedził Bob przez zaciśnięte zęby. Pomyślał o tym biedaku, który oglądał masakrę przez lunetę karabinu, bezradny, przerażony i przede wszystkim niewybaczalnie wściekły na samego siebie za to, że nie trafił do celu i postrzelił kobietę.

- Co się z nim stało?

- Ożenił się z tą dziewczyną, którą trafił. Opiekował się nią, a potem się z nią ożenił. Wciąż pracuje w FBI i do końca życia musi zajmować się tą kobietą na wózek inwalidzkim.

„Twoje zdrowie, Nicku Memphis” – pomyślał Bob. „Gdybym mógł, wypiłbym za ciebie, a jeśli kiedyś znowu do tego wrócę, na pewno wypiję.”

- To ciekawe, jak różne instytucje ujawniają swą prawdziwą naturę w sytuacjach kryzysowych – mówił Hatcher. – FBI opiera się głównie na biurokracji, której podporządkowane są wszystkie jej działania. Baza musiała kontrolować Memphisa nawet w chwili strzału. Musiała to robić, w sposób neurotyczny, patologiczny. Taka właśnie była najważniejsza zasada działania Bazy: chronić własny tyłek. A biedny Memphis, choć działał solo, był też częścią zespołu i podporządkował się tym naciskom. W ten sposób całkiem spieprzył swój strzał.

Hatcher zrobił krótką pauzę.

- Ale panu się udało, panie Swagger. Bo nie jest pan częścią zespołu, nie musi trzymać się pan żadnych norm ani tradycji. Może pan po prostu to zrobić. Zajmuje się pan tym, co najważniejsze, poświęca temu całkowitą uwagę. Ten strzał był zapewne w zasięgu Memphisa i w sprzyjających warunkach pewnie by mu się udało. Ale wyruchali go. My też próbowaliśmy panu wszystko popsuć, ale pan się nie dał. Rozwalił pan Williego Downinga jak trzeba.

Oprócz matolkowatego Hachera wokół Boba tłoczyło się jeszcze kilku innych fanów. Bob wyczuwał ich podziw i gardził nimi.

- Panie Swagger, mamy dla pana jeszcze jeden test. Chce się pan jeszcze pobawić?

Bob splunął na ziemię, dziwnie skrępowany, choć nie do końca niezadowolony z atmosfery, którą tworzyli wokół niego ludzie Hachera.

- Spróbuję jeszcze raz – postanowił. – Może znów mi się uda.

- Ta próba to typowo snajperskie zadanie bojowe. Scenariusz wzorowany jest na wydarzeniach, które miały miejsce w 1988 roku w Medellin, w Kolumbii. Sprawa jest ściśle tajna, więc muszę pana poprosić, by nie ujawniał pan nikomu jej szczegółów. Rozumiemy się?

- Przyjechałem tutaj, żeby strzelać, a nie gadać.

- Kiedy wszystko panu wyjaśnię, zrozumie pan zapewne, dlaczego tak zależy nam na dyskrecji. W sprawę zamieszany był agent DEA, Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami, który strzelał z odległości prawie tysiąca trzystu metrów do diler narkotyków odpowiedzialnego za wymordowanie grupy innych agentów. Ten facet miał świetną ochronę, zawsze otaczało go kilku Kolumbijczyków z automatami. Mówiono, że gdyby ktokolwiek próbował go zabić, ochro-

niarze po prostu otworzyliby ogień do wszystkiego, co nawinie im się pod rękę. Agencja, choć niechętnie i nieoficjalnie, postanowiła go jednak załatwić, starając się narobić przy tym jak najmniej zamieszania. Oczywiście było to nielegalne, uważano jednak, że należy przesłać tego rodzaju wiadomość pewnym ludziom w Kolumbii.

- Więc to zwykły, prosty strzał?

- Tak. Żadnych zakładników, nic w tym rodzaju. Tylko człowiek, karabin i cholernie trudny strzał.

- Nie namówicie mnie do strzelania na taką odległość z Remingtona .308.

- I znów pan nas przejrzał. Strzelec z Agencji używał H & H Magnum kaliber .300 i trzynastogramowych brenek Sierra. Proszę, oto karabin. Ten sam.

Na jego znak jeden z techników przyniósł futerał i otworzył go. Bob zobaczył karabin.

Ale jaki karabin.

- Cholera – pokręcił głową, niemal wbrew sobie. – To prawdziwe cacko. Cholera!

Był to samopowtarzalny karabin snajperski Model 70 sprzed 1964 roku, z grubą lufą i lunetą Unertl 36x ciągnącą się niemal wzdłuż całej długości lufy. Karabin lśnił i kusił go swym blaskiem, świadectwem niedoścignionej sztuki rusznikarskiej, która w Ameryce rozwinęła się najbardziej w latach dwudziestych i trzydziestych. Był niemal nieskazitelnie czysty, świetnie utrzymany, darzony zapewne szczerą miłością i zaufaniem. Jednak tym, co zrobiło na Bobie największe wrażenie, było drewno; nieco grubsze w konfiguracji sprzed 64 roku, ale niemal całkiem czarne. Bob nigdy jeszcze nie widział tak ciemnego orzecha, czerni niezwykle głębokiej, bogatszej od wszelkich plastikowych podróbek. Czarne drewno?

- To naprawdę fantastyczna broń – powiedział. Pochylił się, by spojrzeć na numer seryjny: Boże, jedyńka i pięć pięknych złotych jacek! 100000. Stutysięczna 70! Oznaczało to, że karabin ma ogromną wartość kolekcjonerską, i że został wykonany około roku 1950.

- Z fabryki Winchestera, rocznik 1948. Metal został poddany specjalnej obróbce cieplnej, żeby nadawał się do strzałów na odległości rzędu kilometra.

- No dobra, spróbujmy. Macie do tego amunicję?

Hatcher wręczył mu paczkę pocisków Accutech Sniper Grade .300 H & H Magnum. „Do użytku wyłącznie przez uprawnione służby” głosiły czerwone litery na opakowaniu.

Bob otworzył pudełko i wyjął jeden z naboji: wyglądał jak miniaturowy pocisk balistyczny, miał prawie dziesięć centymetrów długości i był ciężki jak strusie jajo.

- Jaka balistyka?

- Około dziewięćset metrów na sekundę. Robimy go z pięciu gramów materiału miotającego H4381 i trzynastogramowego pocisku półpłaszczowego ze ścięciem dennym naszej produkcji.

Bob przeliczył to szybko w myślach; przy strzale z odległości dziewięciuset metrów musiał wziąć poprawkę rzędu pięciu metrów, a przy dystansie tysiąca trzystu metrów poprawka musiała wynosić dziewięć metrów.

Bob wziął do ręki karabin. Jego pierwszą miłością był właśnie Model 70. Teraz miał kilka sztuk takiej broni, między innymi krnąbrny .270, którym zajmował się przed podróżą do Maryland, i którego nie zdołał jeszcze całkiem przywrócić do porządku. Traktował więc tę broń jak starego przyjaciela.

- Gdzie mogę go wyzerować?

- Jest już wyzerowany. Zajął się tym jeden z naszych techników. Będzie trafiał idealnie tam, gdzie pan go skieruje.

- Chwileczkę. Nie lubię strzelać za pieniądze z broni, której nie wypróbowałem.

- Ekhm... - odchrząknął Hatcher, zakłopotany nieustępliwością Boba. - Mogę pana zapewnić, że...

- O niczym nie możesz mnie zapewnić, jeśli sam tego wcześniej nie zrobię.

- Mam skontaktować się z pułkownikiem?

- Proszę bardzo.

- W porządku. Ale mogę panu powiedzieć, że facet, który przygotowywał karabin do strzału na taką odległość i takimi pociskami, wygrał w połowie lat pięćdziesiątych mistrzostwa w strzelaniu z odległości tysiąca jardów. Karabin strzeli, jak należy. Gwarantuję to panu. Ten facet zdobył nim niejedną nagrodę.

Bob zmrużył oczy i zastanawiał się przez chwilę.

- No dobrze - powiedział w końcu. - To wbrew moim zasadom, ale w tym przypadku spróbuję.

Bob leżał w ciasnej i brudnej kryjówce, niewiele szerszej od jego ramion. Przez szczelinę o wymiarach piętnaście na dziesięć centymetrów widział szereg niskich pagórków. W oddali widać było również stromy nasyp ziemny.

- Czekał w tej kryjówce przez dwa tygodnie – mówił mu wcześniej Hatcher. – Powinien się pan cieszyć, że nie każemy panu robić tego samego. Po tylu dniach doczekał się wreszcie odpowiedniego momentu i spudłował. Szkoda.

Garcia Diego, bo tak się nazywał diler narkotykowy, był wielce ostrożnym człowiekiem, dlatego też jego hacjendę otaczał pilnie strzeżony obszar o promieniu kilometra. Po tym, jak zabił cały zespół DEA z Miami, był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Kolumbii. Agenci wytropili go jednak w końcu i wiedzieli, że jeśli wymknie się ze swojej kryjówki, to zrobi to o świcie; przejdzie przez mur na tyłach hacjendy – wtedy właśnie będzie widoczny przez sekundę lub dwie – po czym wsiądzie do swojej terenówki i zniknie w dżungli.

- Zobaczysz pan manekina przypominającego do złudzenia człowieka – mówił Bobowi Hatcher. - Przeciagniemy go nad wałem ziemnym na linkach, z tej odległości będzie to jednak wyglądało całkiem naturalnie. Najlepiej będzie, jeśli spróbuje pan trafić go w tułów.

Teraz Bob siedział sam w swojej kryjówce. Stary Winchester był karabinem, na którym uczył się niegdyś polować w swoich rodzinnych stronach, w Arkansas. Był niczym list z domu albo z początku lat pięćdziesiątych, przywoził mu na pamięć jego tatę. Earl Swagger był śniadym mężczyzną o gęstych włosach i głosie przypominającym zgrzyt pilnika trącego o metal, człowiekiem wielkiej godności i spokoju, dobrze umięśnionym i sprawnym – nigdy jednak nie podniósł głosu ani nie uderzył kogoś, kto sam nie uciekał się do przemocy. Traktował wszystkich ludzi, łącznie z tymi, których wówczas nazywano czarnuchami, z taką samą spokojną uprzejmością, i zwracał się do wszystkich, choćby najgorszych szumowin per „pan” i „pani”.

Stał nad Bobem, cierpliwie niczym letnie słońce, nieruchomy i opanowany.

- Posłuchaj, Bobie Lee – mówił do swego syna. – Karabin jest wart tyle, co człowiek, który go używa. Jeśli będziesz go dobrze traktował, nigdy cię nie zawiedzie. Jeśli będziesz traktował go podle, jak parszywego psa, albo jeśli będziesz go ignorował, jak zrzędliwą kobietę, wcześniej czy później znajdzie jakiś sposób, żeby cię zdradzić. Nie ma nic gorszego od wzgardzonej strzelby, jak mówi Księża. No może nie mówi tak do końca, ale mogłaby. Słyszysz mnie, Bobie Lee?

Bob Lee pokiwał głową, przysięgając, że nigdy nie będzie źle traktował karabinu. Teraz, po wielu latach, czuł, że to jedyna rzecz, którą może stwierdzić z całą pewnością: że nigdy nie zawiódł swego ojca, ani żadnego karabinu.

Spojrzał w dół, na strefę ostrzału.

Nie widział żadnego ruchu. Było spokojnie, podniósł się tylko lekki wiatr; słyszał jego szum, cichy i nieustanny.

Strzelając z odległości przekraczającej kilometr, przebywasz w innym świecie. Wiatr, który przy trzystu metrach może być uciążliwy, w takich warunkach staje się nieznosny. Pocisk wytraca prędkość do tego stopnia, że jego trajektoria staje się delikatna niczym oddech dziecka. Sekret udanego strzału polega na tym, by wykorzystać ten wiatr, by go przejrzeć i zrozumieć; tylko wtedy można trafić do celu.

Przy strzale z odległości ponad tysiąca metrów, nawet ze świetną lunetą, nie ma żadnych szans na idealne trafienie w cel, na dziesiątkę: próbujesz jedynie trafić w tarczę, choć jakiś niezwykle utalentowany strzelec z najlepszym sprzętem na świecie mógłby utrzymać margines błędu nie przekraczający dziesięciu centymetrów.

Bob odblokował kciukiem bezpiecznik Winchestera, zacisnął dłoń na uchwycie, przyciągnął karabin do ramienia i przykazał swemu ciału, by się rozluźniło, podczas gdy jego umysł szukał najlepszej pozycji.

Wcisnięty w wąską kryjówkę wykopaną w ziemi i glinie, starał się ułożyć ciało w sposób najbardziej zbliżony do klasycznej pozycji strzeleckiej. Przód i tył karabinu opierały się na workach, choć w tylnej części zostawił sobie odrobinę luzu, by w razie potrzeby wodzić lufą za celem. Oddychał płytko i krótko, wciągając i wypuszczając połowę zwykłej porcji powietrza, przyzwyczajając się do zmniejszonej ilości tlenu.

Gdy wreszcie ułożył ciało w odpowiedniej pozycji, zdumiał się tym, jak czysty i jasny wydaje się świat widziany przez lunetę Unertl 36.

Dobrze, że podano mu wcześniej dokładny kierunek. Im większe powiększenie, tym węższe pole widzenia: gdyby musiał szukać właściwego miejsca patrząc przez tę lunetę, zajęłoby mu to cały dzień.

I wtedy to zobaczył. Ledwie dostrzegalny ruch, na samej krawędzi ziemnego nasypu, prawie tysiąc trzysta metrów dalej. Nad brzeg nasypu wysunęła się głowa mężczyzny, potem ponownie za nim zniknęła. Wychodził.

Bob czuł, jak narasta w nim napięcie.

I wtedy uświadomił sobie - choć nie umiałby ubrać w tego słowa, bo w tym momencie nie było czasu na słowa - że od początku chodziło o ten właśnie strzał. Cała reszta - Accutech, amunicja Sniper Grade, Nick Memphis w Tulsa, akcja DEA przeciwko dilerowi - wszystko to było tylko preludium. To właśnie do tego momentu go przygotowywali, powoli, krok po kroku, aż stanął w obliczu czegoś, czego od dawna wyczekiwał, na co liczył.

Teraz widział już, że to bardzo daleki strzał; niewielu ludzi na świecie mogłoby trafić z takiej odległości. Szybko wykonał wszystkie obliczenia balistyczne, próbował choć w przybliżeniu określić zachowanie pocisku przy takim strzale,

porównując je z zachowaniem innych pocisków o podobnym ciężarze i trajektorii, starał się wy badać prędkość wiatru, wykorzystać strzelecki instynkt, wczuć się w ten strzał. Mimo to wciąż czuł się nieswojo. Był na niezbadanym terytorium. Nikt inny nie próbował dotąd czegoś podobnego. Kto zaryzykowałby taki strzał? Był po prostu karygodnie niebezpieczny, bez względu na to, kto miał zostać jego celem.

Oczywiście wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę w ciągu kilku nanosekund. Mężczyzna wyszedł na nasyp, zsunął się ze szczytu i stał przez moment w bezruchu, cholernie zadowolony z siebie, beźmyślnie nieostrożny. Był kropką, punkcikiem. Był bardzo, bardzo daleko.

Bob dokonał minimalnej korekty w czasie krótszym, niż można by zmierzyć ludzką miarą, w chwili przedziwnego spokoju odszukał właściwy punkt, poczuł, jak spust ustępuje pod jego palcem i stracił cel z oczu, gdy karabin uniósł się na moment po strzale. Wiedział, że trafił, bo ludzka postać opadła nagle na ziemię i stoczyła się z nasypu.

Bob zrozumiał wreszcie, co zrobił – i co oni zrobili jemu.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się tak, jakby zbeczczecił broń.

Ich entuzjazm nie miał dla niego żadnego znaczenia.

- Panie Swagger, na Boga – bełkotał Hatcher. – Nawet pan o tym nie wie, ale do tej pory mieliśmy tutaj dwudziestu ośmiu ludzi, byłych strzelców z policyjnych jednostek specjalnych, najlepszych specjalistów z FBI, ze Związku Myślistwa Sportowego, mistrzów kraju w strzelaniu z tysiąca jardów, i żaden, ale to żaden z nich nie trafił! Pana pocisk przeszedł tuż obok serca. Jednym strzałem położył pan gościa trupem z odległości tysiąca trzystu metrów.

Bob spojrział na niego spod przymrużonych powiek.

- To niezły karabin – powiedział. – A ten, kto robi wam pociski, zna się na rzeczy.

Nawet Payne, który do tej pory traktował go z całkowitą obojętnością, teraz spojrział nań z dziwnym błyskiem w oku.

- Niezły strzał – stwierdził tonem sugerującym, że w swoim czasie i on widział, albo nawet oddał, równie trudne strzały.

Bob jednak wciąż czuł się podle, zupełnie jakby obudził się rano u boku prostytutki i uświadomił sobie z przerażeniem, co sprzedał, by ją posiadać.

- Panie Swagger, dobrze się pan czuje? Do diabła, gdyby pracował pan dla DEA, Diego Garcia należałby już do historii, a nie został najbogatszym człowiekiem w Kolumbii.



Bob uśmiechnął się słabo, próbując zrozumieć, co właściwie się z nim dzieje. „Tato, co ja zrobiłem?” – pomyślał, przypominając sobie, jak po raz pierwszy strzelił do jelenia, jak poszarpał mu wnętrzności, a potem czuł wstyd i nienawiść do samego siebie. Tata powiedział mu, że nic się nie stało, a potem sam wytropił rannego byka i dobił go; przez trzy godziny szedł krwawym śladem po stromych zboczach gór Ouachitas. Tata powiedział mu, że Bóg wybacza kiepskie strzały, jeśli wie, że tak naprawdę chciałeś zdobyć jedzenie dla rodziny, że naprawdę kochałeś zwierzę, na które polowałeś, i że byliście razem częścią natury.

Gdyby Bóg nie chciał, by człowiek polował, to po co dałby mu rozum potrzebny do wynalezienia prochu i skonstruowania karabinu Winchester Model 70?

- Och, chyba już wiem, na czym stoję – powiedział, bo właśnie zrozumiał w pełni, co mu zrobili. – I wiem, że najlepiej będzie, jeśli sprowadzicie tu teraz tego swojego fałszywego pułkownika, i to szybko, żeby wytłumaczył mi, dlaczego zadaliście sobie tyle trudu i zamieniliście mnie w żółtka, który kiedyś polował na m n i e! – Zmierzył Hatchera wściekłym spojrzeniem. – Ty skurwysynu, zrobiłeś ze mnie snajpera, który postrzelił mnie i zabił mojego najlepszego przyjaciela!

Czuł, jak wzbiera w nim niepohamowana furia. Odwrócił się do Payne'a i wbił kolbę karabinu Model 70 w jego usta. Potężny cios dosłownie uniósł mężczyznę w powietrze, a potem rzucił go na ziemię, rozsiewając dokoła połamane zęby i krew. Boba mierzyła myśl, że użył lśniącego drewna karabinu do tak paskudnego celu, ale pewne rzeczy po prostu trzeba zrobić. Cios zabrzmiał tak, jakby ktoś uderzył stalową rurką w kawałek wołowiny, zupełnie zniszczył brzydką, grubą twarz Payne'a i napelnił jego małe świńskie oczka strachem. Bob sięgnął w dół, wyszarpnął obciętego Remingtona 1100 z kabury ukrytej pod pachą Payne'a, wyrzucił sześć czerwonych naboju na ziemię, a potem odrzucił na bok samą broń.

- Mój pies cię nie lubi i ja cię nie lubię, Payne. Nie lubię facetów, którzy noszą ze sobą obrzyna załadowanego śrutem 00, bo boją się spudłować.

Odwrócił się do Hatchera, który z niedowierzaniem przyglądał się tej nieoczekiwanej i błyskawicznej eksplozji przemocy.

- Jeszcze tu jesteś? Sprowadź tu tego swojego pułkownika, bo będę się wyzywał na Payne'a do zachodu słońca.

W milczeniu obserwował, jak Hatcher i jego pomocnicy biegną do samochodu.

